

PRYWATNE I PUBLICZNE ALBO WŁASNE I WSPÓLNE, CZYLI DLACZEGO ŻYJEMY W TAKIEJ ARCHITEKTURZE, W JAKIEJ ŻYJEMY?

Janusz A. Włodarczyk

Wyższa Szkoła Techniczna, ul. Rolna 43, 40-555 Katowice
E-mail: jawarch@interia.pl

THE PRIVATE AND THE PUBLIC OR OWN AND COMMON.
WHY WE LIVE IN ARCHITECTURE JUST SUCH AS IT IS?

Abstract

The political changes in Poland after 1989 from the totalitarian system to democracy and the free market, had the important meaning of architectural space, particularly from the point of view of new divisions on the private and the public properties. The influence of it, is important for the image of contemporary architecture.

Streszczenie

W konsekwencji przemian ustrojowych w Polsce po roku 1989 i przejściu od autorytarnego systemu rządzenia krajem oraz gospodarki planowej do demokracji z wolnym rynkiem dokonały się zmiany, nieuchronne, w gospodarowaniu przestrzenią architektoniczną oraz stosunkiem do niej społeczeństwa. Miało to wpływ i wciąż widoczne są tego skutki, gdy chodzi o dzisiejszy obraz naszej architektury.

Keywords: architecture; public; state; social; private; law; property; community

Słowa kluczowe: architektura; publiczne; państwowe; społeczne; prywatne; prawo; własne; wspólne

W rozważaniach na temat własności prywatnej i wpływu jej na nasze życie w przestrzeni, szczególnie w polskich realiach ostatniego, odeszłego już stulecia, wciąż obserwować można zmiany, kolejne, które często bulwersują, mimo iż niby wszystko już było, w różnych kontekstach i zakresach, i nic dziwić nas już nie powinno. Dzięki nauce, ale i poparciu jej własnymi doświadczeniami, mamy świadomość, że podstawą w naszym stosunku do własności jest przeświadczenie o nadrzędności własnego nad wspólnym. Egoizm jest atawistyczny. Dziecko bardzo wczesnie ujawnia swój stosunek do własności: to moje, nie dam. Dopiero wychowanie, nazwijmy: właściwe (nowoczesne? świadome? humanistyczne?), może pozwolić mu poznawać różnice między własnym a wspólnym, także sens dzielenia się swoim, jakkolwiek nasze doświadczenie nam mówi, że ten nasz atawizm jest zwykle silniejszy od wychowania w duchu społecznym.

Właściwego stosunku do rozróżniana między własnym a wspólnym uczy nas też historia architektury i historia powstawania miast. Wieś (polska), jako przykład życia człowieka-indywidualisty, funkcjonującego zwykle w nikłym stopniu organizacji życia społecznego czy to, dawniej szlachty czy później – uwolnionych już chłopów, w takiej też pozbawionej relatywnie szerszego zakresu rygorów przestrzeni, jawi się jako przeciwieństwo miasta, które w konsekwencji wspólnych działań społeczności, ale też i ze względu na charakter terytorium, organizowanego w określonych granicach, kształcie i wielkości/skali, stanowi formę życia wyższą. Czynniki te, w miarę upływu czasu, też i zmian demograficznych oraz różnych innych, mających wpływ na gwałtowny przyrost mieszkańców miast, a tym samym powodujących ich zagęszczanie i coraz to większą ciasnotę, wymuszały potrzebę coraz to lepszej organizacji organizmu miejskiego, jego zabudowy, a w kon-

sekwencji coraz wyższą kulturę współżycia mieszkańców, czyli harmonię w rozróżnianiu tego, co prywatne, i tego, co publiczne. W naszej kulturze zaczęło się to od antyku, od Greków i trwało dalej, u Rzymian, i dalej, choć nie zawsze coraz to bardziej harmonijnie: rozwój i wzrost nie jawi się nigdy jako linia prosta, jednostajnie się wznosząca, a ilość (tu: niekontrolowany przyrost ludności) jakości nie służy. Przy tym nasze prawa i obowiązki w zakresie godzenia własnego i wspólnego nieustająco rosną.

Ze wspomnianą wyżej kulturą zachowania właściwych proporcji w traktowaniu prywatnego i nie-prywatnego: społecznego, publicznego i państwowego jest rozmaicie, czy rozważamy cechy plemienne i narodowe, stopień inteligencji, wychowanie przez dom i szkołę, obserwacje z życia innych ludzi bądź wykształcenie. U człowieka, mimo wrodzonego, jak sądzić – że powtórzę - egoizmu i atawistycznego traktowania siebie i swego miejsca jako imago mundi, czyli środka świata, jego obrazu, te cechy zachowań nie są wielkością stałą, korygujemy je.

A jak to jest z tym u zwierząt? Nasza wiedza o przedmiocie utwierdza nas w naszym myśleniu, że aby zyskać potwierdzenie cech wspólnych z człowiekiem, wystarczająco znaczna liczba gatunków należy do społeczności zorganizowanych. Dotyczy to także stosunku zwierząt do życiowej przestrzeni, a zachowania ich są może i bardziej przewidywalne niż ludzkie. Wystarczy przyjrzeć się ssakom, zwierzętom nam najbliższym, wśród których wyróżniają się bobry, jako szczególne przykłady działań wspólnych w kształtowaniu przestrzeni, jak wiele gatunków ptaków wspólnie podróżujących czy najbardziej może spektakularne przykłady owadów, mistrzów organizacji – pszczół, os czy mrówek, ale i sięgając tych udomowionych, jak koty, obsikiwaniem znaczące swe terytorium.

Traktując jednak sprawy naszych słabszych braci jako dryf, dygresję, wróćmy do spraw ludzkich, ogólnoludzkich, a jeszcze bliżej, do krajowych. Nasze polskie doświadczenia, w konsekwencji biegu historii, w dychotomii specyfiki problemów: wieś – miasto, podobne doświadczeniom innych krajów Europy Wschodniej, diametralnie różniły się przez te dwa-trzy tysiąclecia przynajmniej, od krajów Zachodu, pozostawiając do dziś swe piętno. Cóż, Rzymianie nas ominęli, brakło im woli, potrzeby czy możliwości, aby nas odwiedzić :-), chyba ze szkodą dla nas; dziś jeszcze nawet w zachodniej Europie jeździmy drogami przez Rzymian zbudowanymi. Opóźniło to nasz dostęp do miejskości, ze skutkami nieodwracalnymi: żyjemy wciąż, głównie w miastach stworzonych wiele stuleci później. Zmarnowaliśmy wiele czasu. Miasto zawsze tworzyło kulturę kraju dzięki ludzkiej umiejętności tworzenia przestrzeni

miejskiej, a także pod względem wyrabiania u człowieka umiejętności życia w społeczeństwie, a tu, cóż, kraj nasz rósł jako rustykalny, czyli wsiowy.

Wzmocnienie temu zjawisku dała struktura ludnościowa. Patrząc na problem, przyjmijmy, że od czasów miasta lokacyjnego w wieku XIII, przy słabym mieszczaństwie, w dodatku w większości nie-polskim z pochodzenia, a skoro obcym, to gorszym (tak!), o losach kraju decydowała ze wsią zrosnięta szlachta, licząca circa 10 % populacji, czyli o największym proporcjonalnie procencie w Europie (we Francji ponoć dziesięciokrotnie mniejszym). Wieś zatem ze swymi wsiowymi cechami (nie: wiejskimi, gdyż nie sposób uniknąć określenia o naznaczeniu w pewnym sensie negatywnym) izolacji, przy braku możliwości zwykłego, codziennego kontaktu ze społeczeństwem oddziałującym na życie kraju, ze znacznie bardziej ograniczoną więzią ze światem, a nie miasto, decydowała o charakterze kraju, jego randze i zamożności.

Można by myśli te podsumować w sposób następujący. Zdominowanie organizacji państwa i kraju przez ludność wiejską, z natury rzeczy niskiego stopnia więzi społecznej, spowodowało relatywnie wysoką skłonność do dowolności, jako konsekwencję zakodowanego przywiązania do prywatności, co prowadziło do lekceważenia wartości wspólnych, także i prawa, bądź sprzyjania tworzeniu prawa zdominowanego przez prywatę.

* * *

W czasie moich studiów w latach pięćdziesiątych i jeszcze długo później wędrowało się dużo po kraju samotnie, bądź w grupach, głównie w górach, ale nie tylko. W górach, zwykle trzymając się szlaków - należę do tych raczej porządnickich :-), na nizinach przemieszczając się też i drugorzędnymi drogami, ścieżkami, czasem na wycucie, na skróty, często ocierając się o zabudowę, także miedziami, będącymi granicą własności. Było to przyjęte, nie spotkałem się z negatywną reakcją właścicieli. Później, już jeżdżąc autem, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych rzeczą zwykłą było zatrzymanie się dla relaksu na skraju lasu czy nieco głębiej, przestrzenie nadmorskie także były dostępne. Przestrzeń wspólna była więc także naszą własną. Jeżdżąc za granicę, na zachód Europy, obserwowałem już inne zjawisko - znacznie trudniejszą dostępność do wolnej przestrzeni: parkowanie już tylko w wyznaczonych miejscach, na Lazurkowym Wybrzeżu swobodne zatrzymanie się nad morzem stało się wielce utrudnione. Wszędzie: privat, na niższych poziomach komunikacji międzyludzkiej: zły pies. Zatem różnica w stosunku do własności w wyniku różnic ustrojowych. Raz tzw. socjalizm (w wielu przejawach system zakłamanym) raz kapitalizm (też daleki od dosko-

nałości, często coraz częściej nieprzyjazny). W sumie: skrajności, czyli schematyzm myślenia.

W roku 1989 uzyskaliśmy wreszcie dostęp do szczęśliwości w upragnionym kapitalizmie. No, określenie to dziś raczej już niestosowane, gdyż niestosowne, wręcz niemożliwe (zbrzydzone przez zbrzydzone socjalitaryzm), dziś mówimy: demokracja z wolnym rynkiem. Fenomen nie był u nas czymś nowym, stał się raczej swego rodzaju renesansem, odrodzeniem po latach równo sześćdziesięciu, bagatela! W XX wieku 60 lat to więcej niż epoka. Jak wiadomo, upływ czasu sprawia, że wszelkie powroty nie przebiegają wprost, linią prostą, a nawet nie po okręgu, lecz po spirali, w górę lub w dół, a w sztuce wszelkie odrodzenia, poprzez barok, do klasycyzmu i dalej, biorąc za przykład tradycje antyku, stają się rozmaitymi rodzajami eklektyzmu. Tak gwałtowne zmiany nie wpływają nigdy korzystnie na organizm, każdy: ludzki - indywidualny czy zbiorowy; człowieka, kraju, państwa. W konsekwencji odzyskania, po raz kolejny, suwerenności i zmiany ustroju nastąpiło zachłyśnięcie się wolnością, rozmaicie rozumianą. W istocie pojęcia demokracji, anarchii, wolności – wszystko się to nam miesza, a w gruncie rzeczy chodzi tu nie o wolność, a o do-wolność, w myśleniu i działaniu, czyli o to, by mnie(!) było dobrze, jak najlepiej. Efekty takich zmian mogą być drastyczne: długo głodujący człowiek, najadłszy się gwałtownie, może to przyplącić kłopotami gastrycznymi, a nawet życiem (ludzie, którzy przetrwali, wycieńczeni, opuszczając obozy koncentracyjne po zakończeniu II wojny światowej, tak mieli). Można uważać, iż ze śladami zjawiska mamy jeszcze wciąż do czynienia, a pewne czynniki czy ich symptomy trwają i pojawiają się nowe: wymiermy choćby, przykładowo, brak stabilności w handlu, rzemiośle czy innych dziedzinach gospodarki, z charakterystycznym zjawiskiem pojawiających się i szybko znikających gospodarczych podmiotów (sklepów, firm, przedsiębiorstw).

Tyle o zjawiskach natury ogólnej, o przyczynach oddziaływania ich na otaczającą nas przestrzeń, na architekturę. Negatywne aspekty ich wpływów na przestrzeń mieszczą się w kategoriach jej podziałów na prywatne i publiczne.

Historia naszego stosunku do otoczenia przestrzennego w wieku XX zdecydowanie odbiega od obrazu odpowiednich zjawisk świata zachodu Europy, a też i w porównaniu z krajami po naszej wschodniej stronie. Sytuacja przestrzenna Polski jawi się jako bardziej drastyczna - w porównaniach z krajami bałtyckimi, Czechami i Słowacją czy nawet Bułgarią i Rumunią, biorąc pod uwagę zmiany kształtu terytorium i migracji ludności. Jeżeli podzielić ten czas na trzy czy nawet cztery okresy: końcówkę czasu rozbiorów i braku

państwowości; międzywojnie, czyli II Rzeczpospolitą; Polskę peerelowską i III Rzeczpospolitą, z wtrąceniem pomiędzy nie dwóch wojen światowych i rewolucji bolszewickiej, uzyskamy w miarę pełny obraz spodziewanych przyczyn deformacji materialnej i duchowej w społecznej percepcji przestrzeni. Pomieszenie z poplątaniem totalne. Raz to moje, raz nie moje; raz nasze, raz obce; raz prywatne, raz państwowe (publiczne, społeczne – takich niuansów przeciętny obywatel zwykle już nie rozróżnia).

123-letni czas rozbiorów, choć w stuleciu poprzedzającym go nie było wiele lepiej (tak gdzieś od czasów konfliktów i wojen kozackich, i potopu szwedzkiego). Obraz wpływu trzech zaborców, nawet do dziś jest jeszcze obecny - odczuwalny i zauważalny. Pierwsza wojna światowa była jakby podsumowaniem, zwieńczeniem długotrwałego status quo. Międzywojnie - o, to już sytuacja całkiem inna. Fenomenem tego czasu, lat dwudziestu, było tworzenie, i stworzenie, nowej przestrzeni i nowego do niej stosunku. To, co państwowe i stworzone dzięki państwu, dzięki jego zaistnieniu, było traktowane jako wartość szczególna, ważna, obowiązująca. To nie są moje doświadczenia, lecz gruntowane raczej przez dom rodzinny, szkołę (krótko, zaledwie rok przed wojną), lektury, zasłyszane opinie, później decydowała już obecność w zawodzie architekta. Budowa Gdyni, architektura Górnego Śląska z Katowicami, nowe dzielnice Warszawy, rozwój miejscowości podgórskich z ich architekturą sportu, turystyki i zdrowia (sanatoria) - wszystko to stawało się wartością wspólną i entuzjazm, emocje silnie wiązały to, co wspólne, z tym, co moje własne, prywatne. Nie wszędzie w różnych częściach kraju było tak różowo i optymistycznie: cóż, nie zdążono. Z jednej strony kilka wieków bałaganu, z drugiej - 20 lat prób porządkowania, ale i budowania, od nowa!

Po sześciu latach wojny i okupacji przez obcych nie zaznaczyły się jeszcze zmiany w stosunku do opisywanych zjawisk. Osobiście mogłem już być odczuć znaczenie i rangę, jakie niosła odbudowa Warszawy, powstałej z popiołów. Oddanie do użytku Trasy W-Z w 1949 roku było świętem wspólnym, wynikającym z powstania nowej wartości przestrzennej, która z poczuciem prywatności nic wspólnego nie miała; jej otwarciu towarzyszyły tłumy ludzi. Podobnie było z odbiorem kolejnych uzyskiwanych wartości, jakie dawała nam odbudowa w postaci MDM-u, czyli fragmentu śródmieścia unicestwionego miasta, przywracania do życia kolejnych pałaców i kościołów Traktu Królewskiego i okolicy czy Starego Miasta. Inaczej było już z Pałacem Kultury i Nauki: tu czynniki pozamerytoryczne, a konkretnie polityczne i symboliczne, przesłoniły wartości przestrzenne budowli powstałej dla wspólnego dobra,

jakkolwiek z punktu widzenia estetyki, a i logiki w kontekście architektury i urbanistyki, prezent wschodniego sąsiada pozostawiał wiele do życzenia. Jest to przykład, iż w państwie peerelowskim coraz częściej stosunek do przestrzeni dominowało nastawienie emocjonalne do władzy narzuconej (tak bowiem uważała znaczna część społeczeństwa), z przeniesieniem emocji tych na otaczającą nas przestrzeń. Tak też traktowane były często tzw. blokowiska, budynki często złej kondyty, choć były przecież symptomem awansu społecznego i niewątpliwym awansem materialnym wielkiej części społeczeństwa; awansowany zbyt szybko chciał mieć więcej. Ludzkie! Faktem jest jednak to, iż stosunek do przestrzeni państwowej czy społecznej nabierał z czasem negatywnych naznaczeń. Wzrastała preferencja domu indywidualnego, jednorodzinnego – prywatnego, czyli własnego, zgodnie z mądrościami ludowymi w rodzaju: bliższa ciątu koszula czy też moja chata z kraja. Do tego, co państwowe, tradycyjnie już, od czasów rozbiorów, po przerwie na międzywojnie, później w czasie wojny i hitlerowskiej okupacji, następnie peerowskiego państwa (polskiego, przecież), Polacy mieli dystans nacechowany niechęcią.

Zmieniła to, w znacznej mierze, zmiana ustroju z socjalizmu na kapitalizm - bez względu na ambiwalencję logiki semantycznej i emocjonalnego naznaczenia tych określeń.

Można by jeszcze tu dodać, iż zanim to przekształcenie nastąpiło, okres niemal dekady (1980-1989) był, w kontekście omawianego tu stosunku do przestrzeni architektonicznej, wyraźnym okresem przejściowym. Załamania inwestycyjnego nie sposób oddzielić tu, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, od polityki. W tym przypadku zjawisko wystąpiło znacznie ostrzej. Walka polityczna, stan wojenny, internowanie opozycji, emigracja zewnętrzna i wewnętrzna – wszystko to spowodowało brak normalizacji w wyniku zaabsorbowania części społeczeństwa, tej jego najbardziej twórczej i ekspansywnej grupy, elity, ideą, a nie materią i wyłączenia się z normalnego życia. Stosunek do przestrzeni: domu, miasta, kraju zszedł na plan dalszy, coraz dalszy. Mieliśmy u nas wielokrotnie dowody takiej tradycji, począwszy od końca XVIII wieku, a i jej symptomy i wcześniej. Faceci szli na wojnę walczyć o idee – z całym szacunkiem - ale też by przy okazji wyrwać się z domu, postrzelać sobie. Chłopcy lubią zabawę w wojsko od zawsze, zostawiając kobiety z dziećmi w domach z całym ich życiem na głowach (tak to jest z odmiennym obliczem tej samej sprawy, w zależności od punktu patrzenia). Któż by się przejmował stanem wartości dóbr materialnych, prywatnych czy publicznych? Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy - jak mówi poeta. Walka albo/i praca, co ważniejsze, albo-albo?

Myszę też, iż uprawnione mogą być sądy, że te nasze cechy narodowe miały prawo oddziaływać w taki sposób na nasz stosunek do architektury, ale to już problem dla psychologa wraz z socjologiem. Różni to nas niewątpliwie od zasiedziałyłch społeczeństw Zachodu, jak Francja, Wielka Brytania, Szwajcaria czy Holandia, a nawet Czechy i Węgry, i jeszcze kilku innych z punktu widzenia jakości percepcji przestrzeni w społeczeństwie. Wątki romantyczne, czyli emocje, dominowały u nas zawsze nad pozytywistycznymi, czyli ratio. Widocznie już Rzeczpospolita tak ma.

Zgodnie z chronologią prowadzonego wywodu wróćmy do roku 1989. Po dwóch wcześniejszych zapaściach, jakimi były dwie wojny, następował entuzjazm i zryw do tworzenia nowego, w tym nowej przestrzeni. Nowa Polska roku 1989 jakoś dziwnie tym nie zaowocowała. Tradycyjnie już walka była zawsze bardziej atrakcyjna niż praca. Myśleć samemu czy zdać się na myślenie czyjeś? Entuzjazm, owszem, zaistniał, nawet owocując tworzeniem, jakkolwiek, głównie swego własnego dobrobytu, nie wspólnego. Budowaniem nowego (dla części ludzi) życia, co w konsekwencji powodowało zwiększający się ruch inwestycyjny, owocujący szybkim, ilościowym przyrostem domów jednorodzinnych. Nie negując tego zjawiska, a wręcz entuzjazmując się - zwłaszcza z racji bycia architektem - nowymi osiągnięciami architektury, części jej, zdecydowanie mniejszej, nie sposób nie ocenić pozytywnie. Ta część to stosunkowo niewielki procent osiągnięć polskich architektów, tych z górnej półki, dokonających w eleganckich fachowych czasopismach, pojawiających się w TV i gazetach, nawet niekiedy w ogólnie dostępnych, w zakresie samych budynków lub niewielkich ich zespołów, głównie obiektów publicznych, liczących się rangą w obrazie większych raczej miast, ale już nie w sferze urbanistyki. Sukcesywnie następuje, intensywniej po roku 2004, czyli roku wejścia do UE, porządkowanie po socjalitaryzmie (już po 20 latach efektów), co zauważalne jest zwłaszcza w przywracanych do życia starych centrach miast, większych i mniejszych. To działania spektakularne, niemniej ważne, nie do przecenienia.

W substancji przestrzennej, realizowanej w tym czasie, zauważalna szczególnie jest jednak zabudowa indywidualna, jednorodzinna. Zjawisko to samo w sobie, z punktu widzenia ilości, jest zjawiskiem normalnym, tak jak i to, że społeczeństwo, wbrew części opinii, bogaci się. Rzecz w tym, że za ilością nie podąża jakość i, obserwując, w przemieszczaniu się przez Polskę, jej obraz, nie widać symptomów poprawy. Owszem, podróżując po kraju anno 2012, widoczne jest coraz większe bogactwo, rosnący standard materialny, ludzie budują swe domy, natomiast z wartościami

duchowymi: z estetyką, harmonią przestrzenną czy wprost ładem jest źle - dominują chaos, urbanistyczna anarchia i kicz, niedokształcenie, braki w kulturze. Cieszymy się pozytywnymi enklawami, są przecież - nic nie jest czarno-białe, o tym się pisze i to się pokazuje. Chodzi jednak o proporcje.

Tyle opisu. A co z przepisem, nie mówiąc o wyjaśnieniu. Gdy o nim jest mowa, mamy tu pewną dwoistość: wyjaśnianie przyczyn zjawiska pierwotnych, ogólnych, narastających z czasem, o tym wielokrotnie pisałem, a nawet w niniejszym tekście było już o tym dużo: wojny, migracje, tendencje do anarchii, ambicje wielkomocarstwowe i zła polityka, walka wyzwolénicza.

Czynnikami sprzyjającym stanowi rzeczy są niewątpliwie negatywne cechy panującej nam ponowoczesności. Nie myśmy to wymyślili (zwykle kopiujemy), to jeden z fenomenów naszej zachodniej kultury (czy zresztą tylko naszej?). Wszystko jest dozwolone. Wprawdzie nie nasz to wymysł, ale jakże pasujący do naszej mentalności czucia się w do-wolności jak ryba w wodzie. Jednak główną przyczyną naszych kłopotów jest prawo (bądź lepiej: jego braki), w naszym przypadku każde prawo wiążące się z architektoniczną przestrzenią: przestrzenne, budowlane, autorskie i różne inne. Czy jest, jakie jest, jak jest egzekwowane i jaki jest do niego stosunek społeczeństwa?

Nie miejsce tu, w tak krótkim eseju, w dodatku generalizującym zagadnienie, na analizę prawa związanego z problemami przestrzennymi. Te są widoczne gołym okiem dla zainteresowanych. Mówimy tu przede wszystkim o skutkach, nie o konkretnych, aktualnych przyczynach - istniejących, obecnych. I nie chodzi też tutaj o przepis prawa, taki czy inny. To działania stosunkowo proste. Chodzi głównie o uregulowania, jakie mogłyby mieć wpływ na ogólny stosunek społeczeństwa do prywatności, do rozgraniczeń w stosunku do tego, co wspólne, a tego, co własne. I nawet nie o rozgraniczenia prawne tu głównie chodzi, lecz o mentalny do tego stosunek. Mowa jest o reakcji na zawłaszczenia przez prywatę prawa do tego, co powinno być traktowane jako dobro wspólne.

W moim mniemaniu, w ostatnim półwieczu u nas w wyniku przeobrażeń ustrojowych zbyt niefrasobliwie w przekształceniach własnościowych wylano dziecko z kąpielą. Wojny, rewolucje i inne kataklizmy dokonują zmian często nieprzewidywalnych i niechcianych. Z upływem czasu jednak nasza mentalność ulega zmianie, czas robi swoje i z jego upływem nie ma i nie może, ale i nie powinno być powrotu do status quo ante. O ile wiem, w wyniku Wielkiej Rewolucji we Francji stan prawny nie wrócił już, dosłownie, do czasów sprzed niej (warto to sprawdzić) i nie zawsze patyczkowano się z prawami sukcesorów dawnych własności,

dziesiątej wody po kisielu, które z moralnością zresztą często musiały być na bakier. W kulturze jak w naturze, w wyniku kataklizmów nie zawsze można wracać do stanu sprzed nich, raczej winno się szukać ich przyczyn, by wyciągnąć wnioski z katastrofy i swój stosunek do fenomenu zmienić.

* * *

Na koniec przykład, więcej czy mniej ważny, ale, jak sądzę, symptomatyczny; wróć tu do wątku wyżej rozpoczętego. Fotografuję. Zacząłem tuż po maturze. Zawód architekta pasję wzmocnił i z aparatem fotograficznym funkcjonuję na co dzień. Fotografowanie natury to proste, z krajobrazem naturalnym problemów nie ma. Z fotografowaniem miasta jest już inaczej. W czasach PRL-u w Polsce, pomijając obiekty wojskowe bądź strategicznie lub za takie uważane, jak dworce kolejowe i lotnicze czy gmachy państwowe szczególnej troski totalitarnego państwa, zwłaszcza w pewnych okresach nasilenia terroru jak w przypadku okresu stalinowskiego lat 1949-1955 oraz stanu wojennego lat osiemdziesiątych było z tym znacznie normalniej i swobodniej. Fotografując szkoły, z racji moich dokonań i preferencji zawodowych, czy innych obiektów użyteczności publicznej, do pewnego czasu nie miałem problemów. Jeśli wchodziłem z aparatem do budynku, to tylko ze względów formalnych, powiedzmy: kurtuazyjnych, wypadało zapytać o pozwolenie czy wprost oznajmić, kim jestem i po co przyszedłem, nie mówiąc o robieniu zdjęć obiektu z zewnątrz. Zmieniło się to z czasem na świecie w wyniku zagrożeń terrorystycznych, jak sądzić, głównie. Obecnie trzeba mieć już pisemną zgodę jakiegoś tam urzędu, zrobienie zdjęcia ad hoc w grę już wejść nie może. Można to jednak zrozumieć w przypadku obiektów dla dzieci i młodzieży, ale już innych, jak obiekty handlu, gastronomii, biur czy nawet banków, to już przesada. Sprawy poszły jednak już za daleko, skoro spotyka się protest właściciela prywatnego budynku czy jego otoczenia, gdy fotografujemy je z zewnątrz! Zresztą dzięki istniejącej technice, możemy przecież sfotografować to, co chcemy, nikogo nie pytając o zgodę, tak!

Stosunkowo względnie normalnie jest jeszcze, gdy chodzi o centra miast historycznych. Ludzie przyzwyczajeni są do turystów, z nich przecież czerpią zyski, turysta jest więc świętą krową, wolno mu więcej, ale też w zależności od miejsca. Jemu wolno więcej, ale niekoniecznie już poza starówką. A w zwykłym osiedlu mieszkaniowym? Tu już jest inaczej. To nie tylko dom właściciela i jego terytorium, ale nawet samochód, a być może i jego pies-ochraniarz, kot już chyba niekoniecznie :-), jeśli znajdzie się w świetle obiektywu, uważa się sprawę za naganną i w wyobrażeniu właściciela może on dochodzić swych praw do prywatności.

Robię zdjęcie, niedawno, we własnym mieście (miasto może być, u licha, moim własnym!), nie zabytkowym, fragment jakiejś całości: kościół z otoczeniem, na pierwszym planie ulica, z samochodami oczywiście. Podchodzi do mnie facet z pretensją: pan fotografuje mój samochód. Mówię coś w stylu: fotografuję miasto, a to, że pan stanął tu swym autem, to pana sprawa, mnie to nie interesuje, dając do zrozumienia (uprzejmie), co myślę o nim i jego pojeździe. Czy nie przesada z tą prywatnością, w dodatku jako z czymś tak bezczelnym z założenia? Nie dość, że ktoś, zwykle w pojedynkę, zawłaszcza przestrzeń w mieście, miejsce circa trzydziestokrotnie większe, w metrach kwadratowych, niż on sam (kradzież przestrzeni wspólnej?).

Jesteśmy w trakcie wielkiej rewolucji, która radykalnie zmienia sytuację obywateli. To nie państwo jest coraz częstszym wyzwaniem dla wolności. Państwo będzie musiało bronić obywateli przed ograniczeniem ich praw do prywatności nadchodzącym ze struktur komercyjnych, często ponadnarodowych.

* * *

Architektura jest dobrem wspólnym: to tak ogólnie. Miasto jest dobrem wspólnym: to już bardziej konkretnie. Jeśli komuś taki stan rzeczy nie odpowiada, może powinien się zainstalować w przestrzeni naturalnej, w jakiejś głuszy, otoczyć murem - będzie miał prywatność w 100%. Lub wrócić na wieś. Albo przenieść się na bezludną wyspę, choć o taką chyba teraz trudno. Miasto jest przestrzenią społeczną i publiczną. Architekturę tworzymy po to, by dać osłonę konkretnemu człowiekowi lub grupie ludzi w wykonywaniu jakichś funkcji, ale też dla ludzi niezwiązanych z nią na stałe: po to, by się architekturze przyglądali i się nią cieszyli. Tak jest wszak z turystą: jeździ po świecie, by architekturę oglądać. Architekturą jest cała sztuczna, nie naturalna, przestrzeń otaczająca nas, stworzona i zaaranżowana przez ludzi - dla ludzi. Do przestrzeni tej zaliczamy też pojazdy, gdy się nie ruszają, tworząc miasta kubaturę, część jego przestrzeni. Też i wtedy, gdy się poruszają, choć z tą kubaturą jest już wtedy inaczej. One współtworzą pejzaż miasta, czy nam się to podoba, czy nie: może do czasu.

Nie wolno nam dopuścić do stanu, w którym świat zostanie całkiem, totalnie podzielony na prywatne części, zresztą coraz to mniejsze, na kształt naszych tradycyjnie patologicznych polskich poletek południa i wschodu kraju.

Ale też nikomu nie wolno odebrać nam prawa do patrzenia i rejestrowania jego zmieniającego się obrazu. Jakby na to nie spojrzeć, świat jest nasz wspólny, choć niektórzy myślą inaczej: chcieliby mieć, póki co, jak największy jego kawałek tylko dla siebie.

Wprawdzie, nie każdą osobę, która się nam podoba, mieć (na szczęście) możemy, ale na każdą mamy prawo patrzeć, przyglądać się jej, a nawet zrobić jej zdjęcie (choć na wszelki wypadek trzeba to robić inteligentnie -).

* * *

Zależność między dwiema wartościami, jakimi są przestrzeń własna, indywidualna, czyli pojedynczego człowieka i przestrzeń wspólna, czyli wszystkich ludzi, powinna być zharmonizowana, zbyt wiele bowiem je dzieli - oddzielanie w miejsce łączenia. Paradoksem naszych czasów jest sytuacja, w której im jest nas coraz więcej i terenu przypadającego statystycznie na każdego z nas jest coraz mniej, tym w większym stopniu go zawłaszczamy, marnując przez niewłaściwe jego użytkowanie. Nie wszędzie proporcja ta jest zachwiana, czyli widać, że tak być nie musi. Stopień wspólnoty społecznej zależy od cech narodowych czy wręcz plemiennych; naród nasz nie reprezentuje, niewątpliwie, zbyt wysokiego, w tym kontekście, społecznego etosu. I chociaż cechy ludzkie nie ulegają zmianom na zawołanie, w ostatnich latach uczymy się wszak coraz szybciej umiejętności współistnienia, jest więc nadzieja, że omawiana proporcja podziału własności też zmianie ulegnie w szeroko rozumianym interesie kraju i społeczeństwa, a nie tylko partykularnych celów. Ostatecznie - od czego jest prawo i prawodawstwo, wreszcie myślenie i zdrowy rozsądek?

LITERATURA

1. **Bogucka M., Samsonowicz H. (1986)**, *Dzieje miast i mieszczaństwa w Polsce przedrozbiorowej*, Ossolineum, Wrocław.
2. **Davies N. (1989)**, *Boże igrzysko. Historia Polski*, Znak, Kraków.
3. **Davies N. (2000)**, *Europa*, Znak, Kraków.
4. **Kajdanek K. (2012)**, *Suburbanizacja po Polsku*, Nomos, Kraków.
5. **Rostworowski E. M. (1985)**, *Popioły i korzenie*, Znak, Kraków.